

## ROZDZIAŁ XIV.

## Piękna Amerykanka.

Kiedy pani Barthès weszła do sali z doktorem, mnóstwo par krążyło już przy zawrotnej, upajającej muzyce walca. Doktor skłonił się, ujął wpół swą damę i rozpoczął taniec. Nie obiegli jednak jeszcze połowy sali, gdy musieli gwałtownie zwolnić tempo, by przepuścić jakąś parę, która o mało na nich nie wpadła. W tej chwili Vanesco poczuł, że jego dama lekko drgnęła, uściśnęła mu rękę znacząco, szepcząc do ucha:

— To ona!

Doktor zwrócił głowę, by przyjrzeć się lepiej tej, którą wskazywała mu jego tancerka. Ale para oddaliła się szybko, trzeba było pospieszyć się, by nie stracić tempa.

Kiedy okrążyli kilka razy salę, trzymając się w pobliżu pięknej nieznajomej, pani Barthès, przypuszczając, że doktor przyjrzał się jej dobrze, zapytała półgłosem:

— No i cóż?

— Nie znam jej — odparł krótko doktor.

— A! — rzekła, bardzo zawiedziona... — Tak jak wszyscy... nikt jej nie zna.

Poczem dodała, nie chcąc być zwyciężoną:

— Cudzoziemka — napewno... Angielka, albo Amerykanka... Tak, raczej Amerykanka.

— Dlaczego pani tak sądzi?

— Typ wskazuje mi to. Założyłabym się, że jest Amerykanką! Tylko Amerykanka potrafi być tak elegancką i tak dobrze ubraną — Angielkom zupełnie brak tego.

— Zdaje mi się, że pani ma słuszość — zgodził się Vanesco...

— Czy mam słuszość? — rzekła młoda kobieta, uśmiechając się zwycięsko... — Drogi doktorze, w tych rzeczach kieruję się, że tak powiem, instynktem, który mnie nigdy nie zawodzi. Zresztą, zaraz się przekonamy...

Ale w tej chwili dźwięki walca zamilkły.

— Chodźmy po wyjaśnienia — rzekła pospieszenie pani Barthès, pociągając za sobą doktora.

Nie potrzebowali iść daleko.

Spotkali Bridgetona, radosnego, rozpromienionego. Pani Barthès chwyciła go bez ceremonii za rękę.

— Gdzie pan tak pędzi?

Zdawało się, że Anglik miał ochotę zemknąć, ale dobre wychowanie nie pozwoliło mu na to.

— Ależ pani... — rzekł, uśmiechając się z wysiłkiem.

— Domyślam się — rzekła pani Barthès z chytrym uśmieszkiem, — że pan już musi coś wiedzieć o pięknej nieznajomej, która pana oślnęła...

— Która mnie oślnęła?! — zawołał Anglik ze śmiechem... — Istotnie... pani ma dziwny sposób wyrażania się...

— Ale trafny sposób, nieprawdaż?

Jubiler zaczerwienił się, jak młoda panna.

— Ostatecznie — ciągnęła młoda kobieta nielitościwie — czy pan wie cokolwiek? „Jak się nazywa, skąd przybywa“? — jak to śpiewają w operze!

— Właśnie przed paru minutami dowiedziałem się od pani Morgenstern, której piękna nieznajoma jest klientką.

— No — więc, więc? — zawołała żywo pani Barthès.

— Więc... jest Amerykanką.

— A co panu mówiłam, doktorze!

— Nazywa się — ciągnął Bridgeton — Ellen Terrys, jest sierotą, przyjechała do Paryża ze swą ciotką, starszą kobietą, podobno bardzo bogatą. Mieszka w hotelu Regina... Oto wszystko, co wiem.

I dodał, kłaniając się.

— Teraz — jeśli mi pani łaskawie pozwoli — pójdę poszukać pani Morgenstern, która obiecała przedstawić mnie tym paniom.

Pani Barthès skinęła głową, a Bridgeton oddalił się i po chwili znikł w jednym z sąsiednich salonów.

Został tam trzy panie siedzące na kanapie i zajęte ożywioną rozmową. Jedna z nich, wysoka i tęgą, siwa, mająca około pięćdziesięciu lat, przerwała rozmowę i zawołała w taki sposób, jakgdyby Bridgeton wszedł tu wypadkiem.

— Ach! oto młody człowiek, który pragnie być przedstawionym paniom. Proszę, niech się pan zbliży. Panie pozwolą?

Obie panie skinęły głową i pani Morgenstern przedstawiła:

— Pan Bridgeton... Miss Warrington... Mrs Ellen Terrys. Pan Bridgeton jest prawie rodakiem pań.

— Pan jest Anglikiem? — zapytała Ellen z zachęcającym uśmiechem.

— Raczej chyba Paryżaninem, gdyż od dziecka tu mieszkam, tu się wychowywałem i teraz prowadzę filię naszego londyńskiego interesu...

— My jesteśmy Amerykankami — odparła Miss Terrys, patrząc na młodego człowieka.

Była kobietą rzadkiej piękności. Jak wiele Amerykanek, posiadała cudownie świeżą cerę. Wspaniałe jasne blond włosy stanowiły oryginalny kontrast z oczami koloru morskiej wody. Oczy zresztą zmieniały wciąż barwę. Chwilami, gdy wpatrywała się w młodego człowieka, w oczach tych migotał dziwny ogień, który gasł natychmiast, ale który mógłby zastanowić uważniejszego obserwatora.



— Niech mi pan poda rękę.

Ubrana była z wytworną elegancją.

Siedząca obok Miss Warrington, osoba niska i otyła, nie brała prawie udziału w rozmowie, zadowolając się potakującym kiwaniem głowy.

— Urodziłam się w Ameryce — ciągnęła piękna kobieta — i tam wychowywałam się po śmierci rodziców, pod kierunkiem kochanej cioci, która była mi drugą matką.

Otyłe oblicze starej damy rozjaśnił uśmiech, pełen głębokiej czułości.

— Przyjechaliśmy do Paryża w zeszłym tygodniu. Pierwszą rzeczą po przybyciu do waszej pięknej stolicy było złożenie wizyty państwu Morgenstern, których wskazał nam jeden z przyjaciół w Nowym Jorku. Przyjęli nas z otwartymi rękami i cieniowali swe stosunki i znajomości paryskie. Im właśnie zawdzięczamy zaproszenie na bal dzisiejszy.

Dalej opowiadała Miss Ellen o swych wrażeniach, gdy nagle do saloniku poczęli zaglądać młodzi ludzie, szukając swych tancerek. Jeden z nich zatrzymał się przed Bridgetonem i skłoniwszy się, zapytał grzecznie:

— Pan pozwoli?

Anglik, maskując niechęć uśmiechem, skłonił się

z elegancją i młody człowiek wyszedł z panią Terrys do sali balowej.

Bridgeton nie prosił nikogo do tego tańca, zresztą nie miał wcale ochoty po temu, pragnął pozostać ze starą damą i zadać jej pewne pytanie.

Kobietę, która go oczarowała, tytułowano „panią“, była więc mężatką, lub wdową. O to właśnie chciał zapytać Anglik.

Stara dama pierwsza rozpoczęła rozmowę i wkrótce poczęła się zwierzać. Bridgeton dowiedział się, że istniał „mąż“, ale jaki mąż? Gbur, pijak, hulaka. Biedna kobieta żyła w prawdziwym piekle. Po opisaniu wszystkich nieszczęść, jakie przeszła jej siostrzenica, Miss Warrington oznajmiła wreszcie, iż rozpoczęto już prowadzić proces rozwodowy i że dlatego właśnie przybyła do Europy, gdyż mąż odgrażał się, że zabije Mrs Ellen, jeżeli otrzyma rozwód.

Wreszcie stara dama położyła palec na ustach i rzekła szeptem:

— Mówmy o czym innym... I tak już za dużo powiedziałam. Ellen mogłaby usłyszeć, a toby jej sprawiło przykrość.

Prawie w tej chwili weszła do saloniku młoda kobieta, zarumieniona i ożywiona tańcem.

— Czy pozwoli mi pani — rzekł Bridgeton lekko drżącym głosem — zaprosić się do następnego walca?

— To już ostatni taniec, zdaje mi się — odrzekła, zaglądając do karnetika.

— Tak — odparł — i tem większą to będzie dla mnie łaską.

— Nie wiem doprawdy... — zaczęła, jakby dążąc się i pragnąc utrzymać młodego człowieka w niepewności. Wreszcie rzekła prawie uroczystym głosem:

— Dobrze, zgadzam się.

— Dziękuję pani! — odparł poważnie Anglik.

W kilkanaście minut później Bridgeton oszołomiony, oślniony, zapominając o całym świecie sunął po sali w takt walca z czarną kobietą.

W pewnej chwili z grupy mężczyzn, przyglądających się tańczącym — odezwał się wesoły, lekko ironiczny głos:

— Dobrze jest być młodym! Spójrzcie na Bridgetona... — Mówił to doktor Vanesco.

Wreszcie bal skończył się. Bridgeton, żegnając się, zapytał z głębokim ukłonem:

— Czy panie pozwolą mi złożyć sobie wizytę?

— Ależ naturalnie, naturalnie — odparła pospieszenie Miss Warrington. — Będzie nam bardzo miło. Mieszkamy w hotelu Regina. Niech pan zajdzie którego popołudnia na herbatę. O piątej zawsze jesteśmy w domu.

Siostrzenica poparła zaproszenie ciotki spojrzeniem, które wydawało się Anglikowi obiecującym.

## ROZDZIAŁ XV.

## Hypnoza.

Laboratorium doktora Aleksandra Vanesco w domu dla ubogich przy bulwarze Świętego Jakóba.

Wszystkie okna szczelnie zasłonięte nie przepuszczają światła dziennego. Obszerny pokój oświetla olbrzymia lampa łukowa. Na dwóch długich stołach pod ścianami stoją aparaty elektryczne z dziwnie poskręcanymi drutami i leżą rozrzucone kartki rękopisu, na którego okładce wielkimi literami czerwonym atramentem wypisano te słowa:

„Praca mózgu. — Mechanizm myśli“.

Pośrodku pokoju na stole operacyjnym leżał rozciągnięty człowiek około pięćdziesięciu lat w bluzie robotnika. Obok na ziemi leżała czapka woźnicy. Człowiek ten z przerażeniem patrzył na doktora Vanesco, który stał przed nim, okryty białym fartuchem, sięgającym do ziemi.

— Niech pan patrzy tutaj — mówił doktor — i niech pan wytrzeszcza oczy, ile pan tylko może.

Pokazywał rodzaj kolumny, wysokości człowieka. Na kolumnie tej błyszczał guzik metalowy, umieszczony w środku reflektora, zwróconego w stronę woźnicy.

(Ciąg dalszy nastąpi).